

A vibrant, painterly illustration of a family in a small town. A man with dark hair and a beard, wearing a dark shirt with a star on the chest, holds a young girl in blue overalls. A woman with long blonde hair stands beside them. In the foreground, two white swans are on the left and a brown rabbit is on the right. The background shows a street with colorful buildings and a blue sky with clouds.

Szepty
TAJEMNIC

Szepty #2

CARA D. WYLER

Rebelle 
WYDAWNICTWO

Copyright © for the text by Cara D. Wyler
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Rebelde
Leszno 2026

All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Justyna Szymkiewicz

Korekta językowa:
Aleksandra Kuczyńska

Korekta po składzie:
Jolanta Szalak, Kamila Polańska

Przygotowanie ilustracji:
Kamil Korzeniowski

Opracowanie okładki i oprawa graficzna:
Justyna Knapik @hermetycznie_zamkniete

Skład, łamanie i przygotowanie ebooka:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68916-44-7

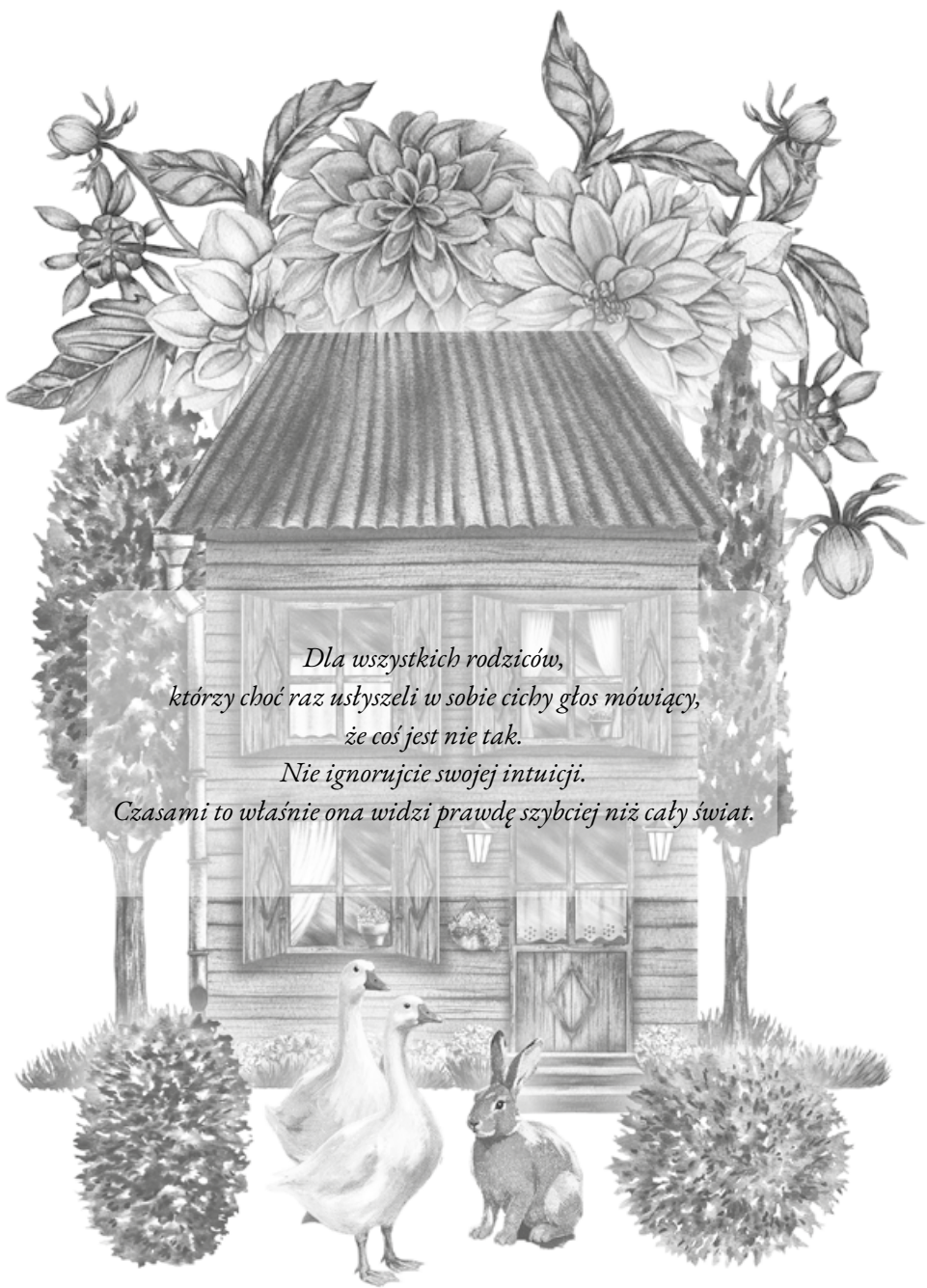

WYDAWNICTWO

Szepty
TAJEMNIC

Szepty #2

CARA D. WYLER

Rebelde ♡
WYDAWNICTWO



*Dla wszystkich rodziców,
którzy choć raz usłyszeli w sobie cichy głos mówiący,
że coś jest nie tak.*

*Nie ignorujcie swojej intuicji.
Czasami to właśnie ona widzi prawdę szybciej niż cały świat.*



„Jest pani w ciąży”.

To jedno zdanie wypowiedziane w sterylnym gabinecie mogłoby kiedyś wywrócić mój świat do góry nogami. Przez całą młodość bałam się tych słów jak wyroku. Nastoletnia ciąża – przerażająca wizja pełna strachu, chaosu i odpowiedzialności, której nie umiałabym unieść. Wtedy byłaby katastrofą.

Ale teraz? Teraz jest inaczej.

Jestem dorosłą kobietą. Za mną studia, mam dobrą pracę, którą uwielbiam, i stabilność, zawsze jej pragnęłam. Mam też Kennetha – mojego partnera w każdym możliwym znaczeniu tego słowa. Od siedmiu lat budujemy razem życie, tworzymy dom, wypełniamy go miłością, śmiechem i marzeniami. Cichymi, ale coraz bardziej realnymi.

Jesteśmy gotowi. Naprawdę. Nawet jeśli długo wmawiałam sobie, że jeszcze nie. Jeszcze jeden projekt w pracy, jeszcze jedna podróż, jeszcze jedna wolna chwila, zanim zdecyduję się na ten krok. A jednak... Kiedy teraz siedzę tutaj, z tym zdaniem wciąż brzmiącym mi w uszach, nie czuję lęku. Nie czuję wątpliwości. Czuję coś znacznie silniejszego.

Radość.

Widzę go oczami wyobraźni. Jego zdziwienie, które w sekundę zmienia się w czystą, szczerą radość. Kenneth, zawsze opanowany, nagle nie będzie umiał ukryć wzruszenia. Przytuli mnie mocniej niż zwykle, zaśmieje się tym swoim głębokim śmiechem i może – tylko może – w jego oczach zabłyśną łzy. Potem zaczniemy planować. Pokój dziecięcy, imiona, przyszłość, która nagle nabierze zupełnie nowego znaczenia.

Nie mam pojęcia, jak bardzo się myślę.



Rozdział 1

Isobel

Wpatruję się bezmyślnie w widok za oknem. Obserwuję, jak pierwsze promienie słońca przebijają się przez ciemność, malując delikatne pasma światła na niebie. W tle monotonnie pracuje ekspres do kawy, dzbanek powoli napęlnia się gorącym, aromatycznym napojem. Jest czwarta dwadzieścia pięć. O tej nieludzkiej porze mało kto potrafiłby normalnie funkcjonować.

A ja funkcjonuję – choć to bardziej przypomina walkę o życie. Od lat. Dokładnie od czterech. Czterech długich lat, podczas których spokojny sen stał się dla mnie jedynie mglistym wspomnieniem.

Najpierw okres ciąży. W moich marzeniach miał być czasem spokoju, radości i oczekiwania na nowy etap życia, a zamienił się w prawdziwy koszmar, walkę o przetrwanie i codzienne zmagania z rzeczywistością wymykającą się spod kontroli. Znany świat runął w jednej chwili jak domek z kart, pozostawiając mnie w kompletnej pustce. Zostałam sama. Bez domu, bez przyszłości, bez planów. Bez mężczyzny, którego kochałam tak mocno, że kiedyś oddałabym za niego wszystko, nawet własną rękę. Teraz, patrząc na to z perspektywy czasu, mogę śmiało powiedzieć, że byłabym niepełnosprawna – i to na wielu płaszczyznach, nie tylko fizycznej.

Nalewam pierwszą porcję kawy z dzbanka, dobrze wiedząc, że to dopiero początek – przede mną jeszcze kilka takich tur. Z kubkiem w dłoni zmierzam do salonu, do miejsca, gdzie czeka sens mojego życia.

Sens mojego życia, który od trzech lat ma pobudki o czwartej nad ranem. Nigdy wcześniej i nigdy później.

Josie jak zwykle siedzi na podłodze, całkowicie pochłonięta układaniem puzzli. To zajęcie, które mogłaby wykonywać bez końca, godzinami wędrując spojrzeniem po setkach drobnych kawałków. One są dla niej jak maleńkie tajemnice do rozwiązywania. Patrzę na jej delikatne blond loczki opadające na ramiona niczym miękkie, złote fale. Są tak urocze i niewinne, że każdego dnia czuję wdzięczność za to, że ona nie jest w żaden sposób podobna do Kennetha. Nie wiem, czy miałabym w sobie dość siły, by każdego dnia patrzeć na jego kopię.

Jej drobne, zręczne paluszki przesuwają puzzle z niemal matematyczną precyzją. Każdy element zdaje się naturalnie znajdować swoje miejsce, jakby Josie już widziała w głowie obraz całości. Czasem zastanawiam się, skąd biorą się u niej ta cierpliwość i determinacja.

Widzę, że już kończy. Jeszcze kilka przesunięć, kilka kliknięć kawałków w odpowiednie miejsca i będzie gotowe. Zaraz podniesie na mnie te swoje bystre niebieskie oczy, a jej delikatna buzia wyrazi zniecierpliwienie, bo skończyła i chce więcej. Znam ten moment. Wtedy zawsze wybucha złością, głośno krzycząc i domagając się kolejnej układanki. Zmienia się z potulnego aniołka w huragan, który trudno opanować.

Moja córka nie mówi.

Nic.

Nigdy nie usłyszałam słowa „mama”.

Nie usłyszałam żadnego słowa. Żadnego dźwięku, który można by było nazwać próbą komunikacji werbalnej. Josie naśladuje melodie, nuci, czasami wydaje dźwięki brzmiące jak śpiew ptaka, ale z jej ust nie padło żadne słowo. Ani „tak”, ani „nie”. Żadne „kocham cię” czy nawet „pić”. Cisza, w której tkwię od jej narodzin, rozrywa mi serce.

Wydałam tysiące dolarów na przeróżnych lekarzy, specjalistów, wizyty. Biegałam od jednego gabinetu do drugiego, szukając odpowiedzi. Na początku mnie ignorowali. „Przesadza pani”, mówili. „To tylko twoja wyobraźnia. Jesteś przewrażliwiona”. Ignorowali każdy sygnał alarmowy, każde

moje słowo o tym, że Josie się jeszcze nie przekręca, choć inne dzieci już dawno to robią. Mówili, że każdy maluch rozwija się we własnym tempie. „Ma czas”, powtarzali. Gdy miała osiem miesięcy i wciąż nie siadała, słyszałam to samo. Gdy skończyła półtora roku i nadal nie próbowała chodzić, uspokajali mnie, że wszystko jest w normie.

Czasami myślałam, że może to ja się mylę, może rzeczywiście panikuję bez powodu. Przecież nie jestem lekarzem. Każda cząstka mojego serca jednak mówiła mi, że coś jest nie tak. Intuicja matki to radar, którego nie da się oszukać. Wiedziałam, że coś się dzieje, ale nie mogłam przebić się przez mur ich zapewnień.

A teraz ci sami lekarze patrzą na mnie z wyrzutem. „Dlaczego pani tak późno przyszła z córką?”, pytają oskarżycielskim tonem, jakby to była moja wina. Jakby każdy dzień spędzony na szukaniu pomocy, każda wizyta, każdy mój strach i ból nigdy się nie wydarzyły. Jakby te wszystkie noce, kiedy płakałam w poduszkę, zastanawiając się, co jeszcze mogę zrobić, były tylko moim wymysłem.

Chciałabym na nich krzyczeć. Powiedzieć, że przyszłam wcześniej. Że błagałam o pomoc. Że prosiłam, płaciłam i wierzyłam, że mają rację. Ale Josie jest ważniejsza. Nie chodzi tu o walkę z lekarzami, chodzi o nią. O jej przyszłość. Więc zaciskam zęby i szukam dalej. Próbuję, choć czuję, że świat ciągle rzuca nam kłody pod nogi. Moje dziecko zasługuje na wszystko, co najlepsze, i nie spoczne, dopóki tego nie dostanie.

Moje rozmyślanie przerywa delikatne pukanie do drzwi, a zaraz potem ich ciche otwarcie. Zerkam na zegarek na nadgarstku. *Punktualnie, co do minuty*. Jak zawsze. Do środka wchodzi Levi, niosąc ze sobą zapach śniadania. Porusza się niemal bezszelestnie, doskonale świadomy, że każdy głośniejszy dźwięk mógłby wywołać u mojej córki histerię.

Levi Sheperd – szeryf naszego miasteczka. Społeczny i chętny do udzielenia pomocy każdemu, kto jej potrzebuje. Obiekt westchnień wszystkich wolnych kobiet z przedziału od osiemnaście do czterdzieści plus, a może i więcej. W sumie co się dziwić? Dobrze zbudowany, wysoki, z tą cholernie zadbaną brodą. No i mundur. Nie zapominajmy o mundurze.

Kim tak naprawdę jest dla mnie? Przyjacielem? Tak, zdecydowanie, ale to słowo nie do końca oddaje, jaką rolę odgrywa w moim życiu. Poznaliśmy się, gdy przeprowadziłam się do Harborbrook. Byłam w ciąży, a on jako zastępca szeryfa przyjechał przywitać nowego mieszkańca. Pamiętam, jak trudno było mi wtedy zaufać komukolwiek. Otoczyłam się niewidzialnym murem, drutem kolczastym emocjonalnej obrony, ale Levi... Levi znalazł sposób, by przedostać się przez te bariery.

Nie tylko wszedł do mojego życia, ale stał się też częścią życia Josie. Jest dla niej kimś więcej niż tylko wujkiem czy opiekunem. To on zawsze przynosi jej ulubione puzzle, przesiaduje z nią godzinami na podłodze, układając te same wzory w nieskończoność, a jej drobny uśmiech jest dla niego największą nagrodą.

Nigdy nie próbował przekroczyć granicy, choć wiem, że coś między nami jest. To czuć w powietrzu. W gestach, spojrzeniach, w tej cichej trosce, która przejawia się w każdym jego działaniu. Ja też czuję, że coś nas przyciąga, ale noszę zbyt wiele na swoich barkach, by wciągnąć go w ten chaos. Tak przynajmniej zawsze myślałam... do czasu.

Wszystko się zmieniło, gdy przez nasze miasteczko przetoczył się huragan. Levi, jak zawsze stawiający innych na pierwszym miejscu, umieścił mnie i Josie w schronie u Nel i Keanu, a sam pojechał pomagać ludziom w najbardziej zagrożonych obszarach. Patrząc wtedy na niego, byłam pewna, że widzę go po raz ostatni. Modliłam się, żeby wrócił. I wrócił – ale już inny. Coś w nim pękło. Przestał ukrywać swoje uczucia, przestał się wahać.

A ja? Choć wiem, że coś do niego czuję, mam w sobie blokadę, której nie potrafię przełamać. Strach przed zranieniem, przed tym, że mogłabym zburzyć tę delikatną równowagę, którą udało mi się zbudować z Josie, ciągle mnie paraliżuje.

– Dzień dobry, *ya rohi*¹ – mówi cicho, a w jego głosie słychać ciepło, którego zawsze się po nim spodziewam. Pochyla się, by pocałować mnie

1 *ya rohi* (arab.) – moja duszo

w czubek głowy, a jego usta zostają tam chwilę dłużej, chce mnie zapewne uspokoić samym gestem.

Nie mam pojęcia, co oznacza zwrot, którym mnie przywitał. Brzmi egzotycznie, pięknie, ale nigdy nie odważyłam się zapytać. Wyszukiwanie w Internecie też jakoś nie przyszło mi do głowy – nie chciałam pozbawić tego słowa tajemnicy.

– Przyniosłem naleśniki. Mam nadzieję, że będą smakować mojej dziewczynce.

Przez moment obserwuję, jak delikatnie stawia pudełko na stole. Zanurzam się w tej chwili spokoju. Levi zawsze wie, co Josie kocha najbardziej – i to nie tylko w kwestii jedzenia. Doskonale potrafił wyczuć jej nastrój, potrzeby, dostosować się. Przychodzi mu to naturalnie, a Josie z kolei jest przy nim spokojna i prawie nigdy nie wybucha złością.

– Wiesz, że uwielbia naleśniki – mówię, uśmiechając się z wdzięcznością. – Mogłaby je jeść codziennie, a może nawet trzy razy dziennie. Ale naprawdę nie musisz przychodzić tak wcześnie. Masz służbę od szóstej. Powinienesz się wyspać.

Odwraca się do mnie z lekkim uśmiechem, który zawsze ma w zana-dru, gdy próbuję go namówić na „zdrowy tryb życia”.

– Nie potrzebuję dużo snu – odpowiada lekko, wzruszając ramionami. – Wojsko mnie tego nauczyło. Wstawanie o świcie i funkcjonowanie na zaprawie to moje drugie imię.

Kuca przed Josie, która siedzi na podłodze w swojej małej, kolorowej przestrzeni. Zawsze podchodzi do niej z tą samą czułością.

– Dzień dobry, *shamsi*² – mówi miękko, delikatnie głaszcząc ją po głowce. – Wypałaś się?

Jak zawsze patrzę na nich z odrobiną nadziei, że może tym razem usłyszymy coś więcej. Może tym razem powie coś, choćby jedno słowo. Choćaż do Leviego, do swojej ulubionej osoby. Naprawdę nie ma już to dla mnie znaczenia, do kogo się odezwie. Byle to zrobiła. Ale ona milczy.

2 *shamsi* (arab.) – słońeczko

Patrzy swoimi wielkimi błękitnymi oczami, pełnymi dziecięcej ufności, a potem przytula się do niego z całej siły. Zwieńczeniem jej powitania są noski-noski, które oboje uwielbiają. Widzę, jak Levi się rozpromienia, jakby dostał najlepszy prezent na świecie.

Z pudełka, które przyniósł, wyciąga puzzle i wręcza jej z uśmiechem. Mój wzrok wędruje na regały pod ścianą. Piętrzą się tam dziesiątki pudełek z puzzlami – kolorowe, w różnych rozmiarach i stopniach trudności.

– Rozpieszczasz ją. – Nie spuszczam wzroku z półek. – Chyba ma już puzzli na całe życie. Na pewno jej nie zabraknie.

Wzrusza ramionami z niewinnym uśmiechem.

– Musi ćwiczyć mózg i motorykę małą, a szybko się nudzi. Też nie chciałbym układać tego samego. – W jego głosie słychać echo słów terapeuty.

Wzruszam się, widząc, jak bardzo przeżywa Josie i jej rozwojem.

– Zamówiłem tyle, że spokojnie wystarczy na kolejne kilka lat. Różne etapy, różne poziomy. Starczy na długo. I znalazłem większość z królikami.

Króliki. To słowo w naszym domu nabrało nowego znaczenia, odkąd moje dziecko rozwinęło obsesję na punkcie tych zwierząt. I to nie jest zwykłe uwielbienie – mówimy tu o poziomie niemal absurdalnym. Maskotki z długimi uszami są dosłownie wszędzie, podobnie jak królicza pościel i piżamki. Nawet słuchawki wygłuszające muszą mieć uszka! A na półkach dumnie stoją figurki królików, starannie ustawione w równym rzędzie według tajemniczego, tylko jej znanego, porządku i klucza.

Wstaję z fotela i idę przygotować stół do śniadania. Z szafki wydaję talerze, ustawiam je starannie na blacie, a potem sięgam po kubek, który zawsze wybiera Levi. Moja ręka zatrzymuje się w połowie ruchu. To absurdalne, ale właśnie dotarło do mnie, że to naczynie nie jest już po prostu kubkiem – to *jego* kubek. Ma swoje miejsce w moim domu, w naszym rytmie życia, a ja tego wcześniej nie zauważyłam.

Czuję, jak zalewa mnie fala emocji, z którymi nie wiem, co zrobić. *Nie możesz się angażować* – tłumaczę sobie w duchu. *Josie zastępuje na*

stabilność, a nie komplikacje. A Levi? On powinien mieć kogoś, kto nie ciągnie za sobą bagażu, kogoś, kto może dać mu normalne życie.

Starając się wyrzucić te myśli z głowy, biorę głęboki oddech i wracam do salonu.

Zamieram w pół kroku.

– Mieliśmy mały wypadek – odzywa się obiekt moich rozmyślań, zanim jeszcze zdążę zareagować. Jego głos brzmi spokojnie, a na twarzy maluje się coś pomiędzy rozbawieniem a czułością. Jak on to robi, że nic nie wprowadza go z równowagi?

Josie siedzi na podłodze, a wokół niej rozlewa się niewielka plama. Nie wygląda na zakłopotaną, wręcz przeciwnie – spokojnie bawi się puzzlami, jakby nic się nie stało. W ogóle nie czuje, że siedzi w kałuży.

Od jakiegoś czasu staram się oduczyć ją noszenia pampersów. Wiem, że to konieczne, zwłaszcza że przedszkole, do którego chcemy ją zapisać, wymaga samodzielności w tej kwestii. Problem w tym, że moje dziecko nie komunikuje swoich potrzeb. Ani słowem, ani gestem. W żaden sposób. Teraz też siedzi w mokrych ubraniach, nie przejmując się zupełnie sytuacją.

Levi, nie czekając na moją reakcję, chwyta rolkę ręczników papierowych i zaczyna sprzątać. Jego ruchy są szybkie, a zarazem delikatne, jakby chciał, żeby moja córka nie poczuła się zawstydzona.

– Przynieś jej suche ubranka. Ja tu ogarnę – mówi spokojnym tonem, odwracając się do mnie. Jego spojrzenie jest jak zawsze pełne ciepła i pewności. – Nic się nie stało. Nauczy się w końcu.

W tych prostych słowach jest więcej wiary i nadziei, niż jestem w stanie w tej chwili udźwignąć. Patrzy na Josie jak na największy cud świata, brak jej słów czy inne trudności nie mają dla niego najmniejszego znaczenia.

Spoglądam na niego, a w mojej głowie toczy się wewnętrzna walka. On wierzy w nią bardziej niż ja. Czasem myślę, że wierzy w nią bardziej niż we wszystko inne. I to właśnie sprawia, że ściska mnie w gardle. Bo co, jeśli zawiedzimy? Co, jeśli on też się zmęczy? Co, jeśli...?

Levi nie daje mi czasu na te wątpliwości. Podnosi Josie z podłogi i mówi do niej cicho, spokojnym głosem:

– Wygląda na to, że musimy zmienić ubranko, księżniczko. – Josie wtula się w niego, a on, nie czekając, odwraca się do mnie z lekkim uśmiechem. – Będziemy gotowi na naleśniki w pięć minut.

Śniadanie mija spokojnie, bez żadnych niespodzianek. Mała siedzi przy stole i z zapalem wcina naleśniki, a ja z czułością obserwuję każdy jej ruch. To, że potrafi jeść sztuczcami, choć nieco niezdarnie, jest jednym z moich największych sukcesów. Każdego dnia patrzę na nią z dumą i miłością, czując, jak bardzo jest wyjątkowa. Właśnie te małe momenty przypominają mi, jak ważne są drobne kroki i ile znaczy każde osiągnięcie w jej życiu.

Nagle czuję ciepły dotyk na dłoni. Podnoszę wzrok i widzę Leviego. Patrzy na mnie poważnie, ale z łagodnością. Jego obecność zawsze przynosi mi ukojenie, choć dzisiaj spojrzeniem zdradza, że chce powiedzieć coś ważnego.

– Jakiś czas temu razem z Keanu rozesłaliśmy wiadomości do naszych znajomych z wojska – zaczyna spokojnym tonem. Czuję, jak moje ciało napina się w odpowiedzi. – Prosiłem ich o pomoc w sprawie Josie.

Moje serce zaczyna szybciej bić. Sztywnieję, bo prośba o pomoc to coś, z czym zawsze miałam problem. On o tym wie, ale nie pozwala mi odwrócić wzroku. Ścisną moją dłoń mocniej, a jego ciepło i siła zdają się przenikać przez moją skórę.

– Rozumiem, że nie lubisz tego robić – mówi łagodnie, lecz w jego głosie słychać stanowczość. – Ale jeśli chodzi o małą, ja nie mam żadnych oporów. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Te słowa uderzają prosto w moje serce. Zawsze był przy nas, gotowy, by nas wspierać, ale teraz widzę, jak daleko jest w stanie się posunąć. Dalej, niż Kenneth kiedykolwiek chciał. Przelykałam łzy napływające mi do oczu, i tylko kiwam głową, nie ufając własnemu głosowi.

– Pojutrze mamy wizytę u psychiatry – kontynuuje nerwowo, jakby się bał, że mogłabym zaprotestować. – To ktoś z polecenia, kto może nam pomóc. A nawet jeśli nie rozwiąże wszystkiego, wskaże nam, co robić dalej.

– Psychiatra? – pytam niemal szeptem, niepewna, co dokładnie oznacza ten krok.

Że jest chora psychicznie?

– Tak – mówi bez cienia jakiegokolwiek zawahania. – Wiele osób, którym ufam, twierdzi, że warto spróbować. Przygotuj wszystkie dokumenty i opinie, które masz. Jutro wieczorem pojedziemy do Nowego Jorku i zostaniemy tam na noc. Josie musi być wypoczęta na wizytę.

Zrobił tak wiele, więcej, niż mogłam kiedykolwiek sobie wyobrazić. Przez chwilę nie mogę wydusić z siebie słowa, bo ciężar wdzięczności niemal mnie przytłacza.

– A twoja praca? – pytam cicho, bo wiem, jak ważne jest jego stanowisko i jak odpowiedzialny jest w swojej roli.

Uśmiecha się lekko, ale jego oczy pozostają poważne, pełne determinacji.

– Nie martw się. Wziąłem urlop. – Ścisną moją dłoń i głaszcze kciukiem. – Nic nie jest ważniejsze niż wy. Pamiętaj o tym, dobrze?



Rozdział 2

Levi

Zawsze byłem człowiekiem zdecydowanym. Gdy raz podjąłem decyzję, nic i nikt nie mógł mnie od niej odwieść. To moja największa zaleta i jednocześnie największa wada, szczególnie w oczach moich rodziców. Nie byłem typem syna, który spełnia cudze oczekiwania. Wiedziałem, czego chcę, i nie wahałem się po to sięgać – niezależnie od konsekwencji.

Najwięcej nerwów kosztowałem rodziców po ukończeniu szkoły średniej. Zamiast pójść na studia, na które miałem stypendium naukowe, postanowiłem zaciągnąć się do wojska. Uparłem się, choć tłumaczyli, prosili, a nawet próbowali grozić. W ich oczach to absurd – porzucać obiecującą przyszłość akademicką dla życia w mundurze. Ja jednak wiedziałem, że tego potrzebuję. W wojsku znalazłem dyscyplinę, wyzwania i przestrzeń, w której mogłem się sprawdzić. Ostatecznie skończyłem studia podczas służby, ale nie tak, jak to sobie wyobrażali moi rodzice. To było po mojemu – inaczej być nie mogło.

Podobnie wyglądało moje odejście z wojska. Zamiast wrócić do rodzinnego Princeton, wybrałem dom po babci, w małym miasteczku, które pamiętałem z dzieciństwa. Ten dom miał w sobie duszę, wspomnienia i spokój, którego wtedy potrzebowałem. Nie przeszkadzało mi, że wymagał remontu i wypełnienia pustki, jaka przez lata w nim osiadła.

Rodzice, oczywiście, byli niezadowoleni. W ich oczach przeprowadziłem się na koniec świata. Nie pomogły też moje zawodowe wybory – zamiast pracy w ich prestiżowej korporacji, aplikowałem na stanowisko

zastępcy szeryfa. Przeszedłem szkolenie, zyskałem odznakę i zacząłem nowe życie, zgodne z wewnętrznym kompasem.

Nie spodziewałem się jednak, że to właśnie w tym miejscu wydarzy się coś, co przewróci mój świat do góry nogami.

Wszystko zaczęło się pewnego popołudnia, gdy zauważyłem ruch przy jednym z opuszczonych domów po drugiej stronie ulicy – dawniej należącego do starych znajomych moich dziadków. „Dom” to może za dużo powiedziane, bo czasy jego świetności dawno minęły. Z ciekawości spojrzałem w stronę tego budynku i wtedy ją zobaczyłem.

Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to burza długich blond loków. Wyglądały, jakby stanowiły jedną trzecią ciała – tak gęste i puszyste, że nie sposób było ich nie zauważyć. Potem dostrzegłem twarz ich właścicielki. Delikatne piegi na policzkach, piękne niebieskie oczy. Zdawały się rozświetlać całą przestrzeń wokół niej. W jednej chwili przepadłem. Nie znałem jej, nie wiedziałem, kim jest ani dlaczego się tu sprowadziła, ale czułem, że właśnie zmieniała mój świat.

Zaraz potem podszedłem, żeby pomóc jej wynieść pudła z samochodu. Chciałem zyskać kilka minut więcej, by zrozumieć, co tak bardzo mnie do niej przyciąga. To wtedy, przy trzecim pudle, dowiedziałem się, że jest w ciąży. Nie powiedziała tego wprost. Zachwiała się, a ja odruchowo chwyciłem ją za ramię, żeby pomóc odzyskać równowagę. Wtedy przyznała się z lekkim zawstydeniem, że to przez jej stan.

Czy mnie to zniechęciło? Ani trochę.

Nazwijcie mnie wariatem, ale nawet przez sekundę nie miałem wątpliwości. Coś w niej – w tej delikatnej, a jednocześnie silnej kobiecie – sprawiło, że wszystkie moje dotychczasowe plany i zasady przestały mieć znaczenie. Była kimś, kto poruszył coś we mnie tak głęboko, że nie mogłem tego zignorować.

Zanim pozwoliła mi się do siebie zbliżyć i zanim nasza znajomość nabrała głębszego sensu, zdążyła zrobić coś, co wpawiło mnie w osłupienie – wyremontowała połowę swojego domu. I nie mam tu na myśli

symbolicznego przemalowania jednej ściany czy przestawienia mebli. Nie, ta kobieta – w ciąży – wzięła na siebie całą metamorfozę parteru!

Zaczęła od wyrzucenia starych, rozlatujących się mebli, które zostały po poprzednich właścicielach. Potem zrywała wykładziny, cyklinowała podłogi za pomocą niewielkiej szlifierki, a na koniec odmalowała ściany. Wszystko to robiła sama, z niezwykłym uporem i determinacją, próbując udowodnić światu – albo sobie – że poradzi sobie ze wszystkim, niezależnie od okoliczności.

Gdyby nie fakt, że pewnego dnia przyszła do mnie, zawstydzona, by zapytać, czy mógłbym polakierować podłogi – bo bała się, że opary mogą zaszkodzić dziecku – nigdy bym się nie dowiedział, jak wiele już zrobiła. Dostałem szału. Wewnętrznie. Nie mogłem jednak dać po sobie poznać złości ani rzucić jej kazania. Nie miałem do tego prawa. Nie była moja. Mogłem tylko zacisnąć zęby i zrobić to, co było w mojej mocy – pomóc jej.

I tak też zrobiłem. Polakierowałem podłogi, ale na tym się nie skończyło. Pomalowałem okna, wyczyściłem elewację, sprawdziłem dach. Z pomocą Theo i Keanu wynieśliśmy starą zabudowę kuchni, którą zastąpiliśmy nowymi meblami, starannie wybranymi przez nią i gotowymi do samodzielnego montażu. Tak, dobrze przeczytaliście – ta kobieta naprawdę planowała sama złożyć te meble, podobnie jak resztę wyposażenia.

Dlaczego nam na to pozwoliła? Dlaczego, zamiast twardo stać przy swoim, w końcu dała się przekonać, żebyśmy jej pomogli? Powód okazał się prosty – ciąży była już zaawansowana, a jej mała księżniczka najwyraźniej miała w sobie więcej energii niż cały nasz zespół razem wzięty. Urządziła w jej brzuchu prawdziwe pogo przez dwadzieścia godzin na dobę, doprowadzając ją do wyczerpania.

Ból, zmęczenie i ogólne złe samopoczucie w końcu wygrały z jej uporem. A żona Theo – Mel – oraz siostra Keanu – Nel – na zmianę dotrzymywały jej towarzystwa, pilnowały, aby odpoczywała i wciągnęły do grona swoich przyjaciółek. Wykorzystaliśmy tę okazję, by przejąć pałeczkę. Na szczęście zdążyliśmy również zaizolować poddasze, aby dom nie wychładzał się

tak szybko. Izzy nie planowała na razie niczego urządzać na górze – dwie sypialnie na parterze w zupełności jej wystarczały. Zamknęliśmy więc poddasze i upewniliśmy się, że jest zabezpieczone, by ta uparta kobieta mogła w końcu skupić się na tym, co naprawdę ważne – na sobie i dziecku.

I tak minęły ponad trzy lata.

Byłem przy nich każdego dnia. To ja pierwszy trzymałem Josie na rękach po jej narodzinach, to ja przywiozłem je do domu ze szpitala. To ja byłem przy każdym pierwszym razie małej. Zawsze obecny – jako wsparcie, przyjaciel, ktoś, na kogo zawsze mogły liczyć.

Nigdy jednak nie zrobiłem kroku w stronę Isobel. Bałem się, że nie czuje tego, co ja. Że po tym, jak została skrzywdzona przez swojego eks, nie zechce zaryzykować ponownego związku. A ja... Ja nie chciałem ich stracić.

Byłem ojcem Josie we wszystkich aspektach – poza biologią. Wspólnie spędzaliśmy każdy dzień, kochałem tę dziewczynkę z całego serca. Jednak to, jak bardzo kocham tę upartą, niezależną kobietę, uświadomiłem sobie w pełni dopiero podczas jednej z najcięższych prób – po przejściu huraganu i trąby powietrznej w okolicach Harborbrook.

Nie dostaliśmy żadnego oficjalnego ostrzeżenia. To mogłoby się skończyć naprawdę źle, gdyby nie Cornelia Walters – entuzjastka meteorologii, znana ze swojego zamiłowania do śledzenia huraganów. To właśnie jej ostrzeżenia uratowały wielu mieszkańców. Mój przełożony, ówczesny szeryf, zignorował ją, twierdząc, że brak oficjalnego komunikatu od FEMA³ oznacza brak zagrożenia. Nie mogłem jednak siedzieć z założonymi rękami. Razem z pastorem Gregiem podjęliśmy decyzję: rozesłaliśmy SMS-y do mieszkańców, informując ich, by zabezpieczyli swoje domy i nie wychodzili na zewnątrz.

Najpierw zawiozłem Isobel i Josie w najbezpieczniejsze miejsce, jakie przyszło mi do głowy – do domu Waltersów. Pod nim znajdowała się

3 Federal Emergency Management Agency (Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego) – agencja rządu USA odpowiedzialna za zarządzanie kryzysowe, koordynację działań w przypadku katastrof naturalnych oraz udzielanie pomocy poszkodowanym.

solidna murowana piwnica, wyposażona lepiej niż niejeden schron. Przytuliłem je mocno, z sercem w gardle, a potem zrobiłem to, co należało do moich obowiązków – wyruszyłem, by pomagać.

Razem z innymi zastępcami szeryfa i wielebnym, mimo zakazu mojego przełożonego, ruszyliśmy w teren. Pomagaliśmy zabezpieczać domy, wyprowadzać zwierzęta i wspierać tych, którzy nie byli w stanie sami sobie poradzić. W tamtych chwilach nie było miejsca na wątpliwości ani strach. Pozostawały tylko obowiązki i chęć zrobienia wszystkiego, co możliwe, by chronić potrzebujących.

A przez cały ten czas w mojej głowie kołatała tylko jedna myśl: *Muszę wrócić do nich*. Do Izzy i Josie.

Tak jak przepowiedziała Nel, huragan zmienił kierunek i uderzył wprost w nasze miasteczko, przekształcając spokojne Harborbrook w miejsce przypominające scenerię z filmu katastroficznego. To, co się działo, było niczym apokalipsa na jawie. Niebo zasnuło się czernią, a nieprzerwana ściana deszczu sprawiła, że widoczność spadła praktycznie do zera. Wiatr huczał, niosąc ze sobą to, co nie było solidnie przymocowane. Gałęzie, znaki drogowe, fragmenty dachów – wszystko fruwało w powietrzu jak liście na wietrze.

Samochody pozostawione na ulicach dosłownie przesuwaly się, popychane siłą wichury niczym zabawki. Ulicami płynęły rwące potoki, wzbierały z każdą minutą. Studzienki kanalizacyjne nie miały szans – zostały przytłoczone ilością deszczu, a woda zaczęła wdzierać się do piwnic i niżej położonych domów.

I wtedy nadeszła trąba powietrzna. Pojawiła się nagle, niosąc za sobą jeszcze większe zniszczenie. Huk był przerażający, wydawało się, że świat rozdziera się na pół. Jakimś cudem ominęła większość budynków, skupiając swoją siłę na jednym z nich. Posterunku. Został doszczętnie zniszczony, a pod jego ruinami znaleźliśmy szeryfa Calma Damona.

Kiedy wszystko ucichło, przebiegłem odległość ze schronu w kościele do domu Keanu. Droga była nieprzejezdna, więc biegłem najszybciej, jak tylko mogłem, z sercem łomoczącym w piersi. Gdy dotarłem na miejsce,

zauważyłem, że Keanu z Theo i Elijahem również właśnie przybyli. Ta część miasteczka ucierpiała najmniej, co od razu zdjęło z moich ramion połowę ciężaru. Wszyscy wpadliśmy do domu niemal jednocześnie, by się upewnić, że nasze kobiety są bezpieczne.

Psy wyskoczyły z piwnicy pierwsze, jak petardy. Melanie dosłownie rzuciła się na Theo, mimo że ten siedział na wózku z nogami w gipsie. Przytulił ją z czułością, kładąc dłoń na jej ciężowym brzuchu. Izzy wpadła w moje ramiona z Josie na rękach, a potem mnie pocałowała – pierwszy raz. W tej chwili zrozumiałem, że nie jestem jej obojętny. Przytuliłem je obie, a potem delikatnie pocałowałem Josie w główkę. Trzymałem ją mocno, by ten uścisk mógł ochronić ją przed całym światem.

Josie zaczęła się wiercić, więc odsunąłem się, by poprawić jej podwiniętą bluzkę. To wtedy zauważyłem coś, co wzburzyło mi krew w żyłach. Na jej brzuchu napisano markerem imię, nazwisko, datę urodzenia i mój numer telefonu. Podciągnąłem rękawki jej bluzeczki – na ramionach widniały te same informacje. Spojrzałem na Izzy, a potem na Melanie i Cornelię. Każda z nich była oznakowana w ten sam sposób.

Odwrociłem się do Cornelii, a ona wyjaśniła głosem wypranym z emocji, że zapisała te informacje na wypadek, gdyby musiały opuścić dom i przypadkowo by się rozdzieliły, nie mając przy sobie telefonów czy dokumentów.

Gówno prawda.

Cornelia była przekonana, że mogą zginąć.

To nie były zapiski na wszelki wypadek. To było na wypadek identyfikacji zwłok.

W wojsku nazywamy to „znakowaniem mięsa”. Wielu żołnierzy jadących na misje robi sobie tatuaże z danymi identyfikacyjnymi na korpuse, rękach lub nogach. Niezawodne, bo nieśmiertelniki można zgubić. Ten widok – zimny, bolesny pragmatyzm – wstrząsnął nami wszystkimi. W ciszy trawiliśmy to, co zobaczyliśmy. Na twarzach malował się strach i niedowierzanie. Tylko Elijah, nieświadomy prawdziwego znaczenia tego, co zobaczyliśmy, chwalił pomysłowość swojej dziewczyny.

Później dowiedziałem się, że piwnica Waltersów, choć solidna, nie była w pełni szczelna. Woda zaczęła wdzierać się do środka. Cornelia brała pod uwagę możliwość, że będą musiały opuścić schron, jeśli poziom wody wzrośnie, i liczyć na to, że dotrą na farmę Melanie i Theo, by tam znaleźć bezpieczne schronienie. Nie powiedziała dziewczynom, jak poważna jest sytuacja, by ich nie straszyć. Zdołała jednak uszczelnić ścianę za pomocą taśmy, którą Keanu kilka dni wcześniej zniósł do piwnicy. To, że im się udało, to cud.

To właśnie wtedy zdecydowałem, że przestaję krążyć wokół krzaczka. Isobel będzie moja – prędzej niż później. Nie zamierzałem dłużej się wahać. Nie po tym, co przeszliśmy. Nie po tym, jak uświadomiłem sobie, ile dla mnie znaczy.



Rozdział 3

Isobel

Nie mogę spać. Przewracam się z boku na bok, wsłuchując w jednostajne tykanie zegara i cichy oddech Josie. Stres ściska mnie za gardło jak niewidzialna pięść, a każdy oddech jest płytki i niespokojny. Powinnam być już do tego przyzwyczajona – do czekania, do uczucia zawieszenia, do niepewności, która zdaje się stałym elementem mojego życia.

A jednak tej nocy jest inaczej.

Chociaż zawsze wierzyłam, że lepiej działać, niż czekać, a strach nie powinien paraliżować, to tym razem mam wrażenie, że wisi nade mną topór – zawieszony na ostatnim, cieniutkim włosku. Próbuję odpychać od siebie te myśli, racjonalizować sytuację, ale nie potrafię. Wiem, że ta wizyta może wszystko zmienić.

Od dawna walczyłam o to, by dowiedzieć się, co dolega Josie i jak mogę jej pomóc. Przeszukałam setki stron, spędziłam niezliczone godziny na czytaniu artykułów, badań, forów pełnych wpisów rodziców, którzy zadawali te same pytania co ja. A jednak wciąż trzymałam się złudnej nadziei, że to minie. Że pewnego dnia Josie po prostu zacznie mówić, a wszelkie moje obawy okażą się bezpodstawne. W końcu każde dziecko rozwija się we własnym tempie, prawda? Może po prostu potrzebuje więcej czasu.

A jednak... W głębi duszy wiem, że to nie tylko opóźnienie.

Zamykam oczy, próbuję się uspokoić, ale moje myśli nie dają mi spokoju. Czuję ciepło – znajome i uspokajające – zanim jeszcze słyszę jego głos.

– Spałaś chociaż chwilę, *ya robi*?

Levi.

Jego wargi muskają czubek mojej głowy, a dłoń delikatnie ugniata bark. Robi to codziennie, instynktownie, wiedząc, że ten drobny gest jest moją kotwicą. Moją przystanią.

Nie odpowiadam, tylko kręcę głową. On rozumie. Zawsze rozumie.

Zaciska mocniej palce na moim ramieniu, rozbijając napięcie i stres.

– Wszystko będzie dobrze – mruczy w moje włosy, a jego głos jest cichy. – To niczego nie zmienia, ale przynajmniej wiemy, jak działać, prawda?

Zaciskam powieki.

– Ta rozsądna część mnie to wie – wzdycham, wzruszając ramionami – ale ten jeden procent... On wciąż nie daje mi spokoju.

Cisza między nami jest pełna rzeczy, których nie musimy wypowiadać na głos.

– Strach nie jest niczym złym – mówi po chwili. – Ja też się boję. To w końcu Josie... Ale musimy zrobić ten krok.

Uwielbiam, kiedy mówi „my”. Jak rodzina. Nie czuję się wtedy samotna. Tylko czy mogę to czuć? Czy mogę rościć sobie do niego prawo? Te pytania wciąż walczą w mojej głowie niczym echo, którego nie potrafię zagłuszyć.

– Aż dziw, że jeszcze nie wstaje. – Spoglądam w stronę sypialni.

Zerkam na zegarek – jest już grubo po piątej. Josie nigdy nie śpi tak długo. Każdego dnia budzi się wcześniej, a jej energia wydaje się niewyczerpana, nawet jeśli poprzedniej nocy ledwie zmrużyła oko. Tymczasem teraz... Cisza. Może to zmęczenie w końcu bierze nad nią górę? Może podróż i emocje sprawiły, że jej małe ciało wreszcie odpuściło?

Nie chcę jej budzić.

– Zamówię śniadanie do pokoju – mruczy Levi, czytając mi w myślach. – Nie będziemy jej stresować nowym otoczeniem schodząc do restauracji.

Odrywam wzrok od zegarka i patrzę na niego.

Stoi kilka kroków ode mnie, nonszalancki i pewny siebie, jakby całe napięcie, które czuję, zupełnie go nie dotyczyło. Ma na sobie szare dresy i zwykłą koszulkę, bose stopy lekko zapadają się w miękkim dywanie. Jego postura zawsze przyciąga uwagę – wysoki, potężnie zbudowany.

I te jego oczy.

Nie niebieskie. Granatowe.

Głębokie jak nocne niebo przed burzą, ciemne i intensywne.

Włosy – ciemny blond, krótsze po bokach, na górze dłuższe, lekko zmierzwione, jakby właśnie przeciągnął po nich dłonią. A te ramiona... Silne, umięśnione. Ramiona, które potrafią trzymać świat w całości, nawet kiedy wszystko inne się sypie. Ramiona, które dają nam tyle ciepła i bezpieczeństwa.

Na moment tracę kontakt z rzeczywistością, zatrzymuję się w tej chwili – w jego obecności, w tym, jak wygląda. Tak cholernie swobodny, tak pewny siebie.

Kiedy się otrząsam, Levi już na mnie patrzy. I nie ma w tym nic dykretnego.

Zawadiacki uśmiech rozciąga jego usta, jakby przyłapanie mnie na gorącym uczynku sprawiało mu autentyczną przyjemność. W jego oczach tańczy rozbawienie, ale nie mówi ani słowa. Doskonale wie, co robiłam. Po prostu stoi i... czeka.

A ja?

Czuję ciepło rozlewające się po moich policzkach. Próbuje odzyskać resztki godności, odchrząkuję i rzucam:

– Jestem pewna, że przez najbliższe kilka dni będzie odreagowywać podróż i badania. – Mój głos jest zachrypnięty, a nawet skrzeczący. Desperacko chcę przykryć pod nim to, co przed chwilą robiłam. – Jak zawsze – dodaję ciszej, bardziej do siebie niż do niego.

Levi tylko uśmiecha się jeszcze szerzej i wraca do przeglądania menu, kompletnie nie zauważył mojej próby zamaskowania własnego zakłopotania.

– Poradzimy sobie – odpowiada spokojnie, jakby to było najoczywistsze na świecie. – Jak ze wszystkim, *ya rohi*.

I w tych słowach zawarł całą pewność, jakiej brakowało mi już od dawna.



Klinika jest luksusowa – aż za bardzo. Do mojego strachu o Josie dołącza nowy lęk: o ile uszczupłą się moje żelazne oszczędności, które odkładałam na jej przyszłość. Na studia, na lepszy start w dorosłość.

Oczywiście zapłacę każdą cenę, jeśli to oznacza, że ktoś w końcu jej pomoże. Muszę jednak myśleć o przyszłości. Chcę, żeby miała wybór, żeby mogła iść na studia, jakie tylko sobie wymarzy. Tak jak moi rodzice zrobili to dla mnie.

Ocieram spocone dłonie o spodnie i odruchowo zerkam w bok.

Josie zdaje się zupełnie nie przejmować nowym otoczeniem – rysuje, pochłonięta światem kresek i jednego koloru. Zawsze rysuje jedną kredką, nie wymienia na inne. Obok niej Levi, skupiony równie mocno, przesuwa ołówkiem po papierze. Rysują razem, w zeszycie, który zawsze mamy przy sobie – z królikami na okładce, oczywiście.

Oni są w swoim świecie.

Rozglądam się.

Światło jest przytłumione, delikatne, zaprojektowane specjalnie tak, żeby nie raziło. Nie ma niepokojących dźwięków – żadnych szorstkich komunikatów przez głośniki, żadnych nerwowych rozmów, trzaskających drzwi. Ściany w neutralnych kolorach, ozdobione dyskretnymi detalami, nadają miejscu przyjazny, niemal domowy charakter. Nawet dzwonek telefonu w recepcji jest cichy.

Wszystko tutaj jest dopracowane.

Dostosowane.

Tak inne od publicznych placówek, które znam.

– Josie Davis?

Głosy wokół nas cichną. Ja i Levi podnosimy głowy niemal jednocześnie, ale Josie, pochłonięta rysunkami, zdaje się nawet nie zauważać, że ktoś ją woła.

Z gabinetu wychodzi kobieta – może mieć nieco ponad czterdzieści lat. Ubrana elegancko, ale bez przesady, w spokojnych, stonowanych kolorach, które nie przytłaczają. Jej twarz ma łagodny wyraz, a postawa – delikatnie pochyłona w naszym kierunku, ale z wyczuwalnym dystansem – zdradza ostrożność i doświadczenie w pracy z dziećmi.

– Jestem Miranda Klose, psychiatra dziecięcy – przedstawia się cicho, nie podchodząc zbyt blisko; zapewne instynktownie wyczuła, że nagłe ruchy mogą spłoszyć Josie.

Niepewnie spoglądam na Leviego, ale on patrzy tylko na nią, uważnie. Ocenia, czy można jej zaufać.

– Kiedy będziecie gotowi – kontynuuje lekarka – poproszę jedno z was wraz z Josie do pokoju obok – wskazuje dłonią na drzwi po lewej stronie – a drugiego rodzica do mojego gabinetu. Uzupełnimy dokumentację i zadam kilka pytań.

W głowie mam pustkę.

„Gotowi”?

Czy można być na coś takiego gotowym?

Czuję, jak moje mięśnie sztywnieją, jak napięcie powoli wspina się po kręgosłupie, zaciska wokół karku. Wiem, że muszę się ruszyć, powiedzieć coś, zrobić cokolwiek, ale nie mogę.

Levi zauważa to od razu.

Bez wahania ujmuje moją twarz w dłonie, kciukami delikatnie przesuwając po policzkach. Patrzy mi prosto w oczy – tym swoim spokojnym wzrokiem, który mógłby przywrócić pokój na świecie.

– To nic nie zmienia. To tylko krok do przodu.

Przetykam ślinę. *To nic nie zmienia.* Ale przecież zmienia. Wszystko.

Mimo to powtarzam za nim, choć mój głos jest cichy, niemal nieobecny:

– To nic nie zmienia...

Nie chcę, żeby Josie widziała, że się waham.

Kucam obok niej i zaczynam pakować jej rzeczy do plecaka. Powoli, starannie, żeby zająć czymś ręce i dać sobie chwilę na zebranie myśli, ale jednocześnie jej nie wystraszyć.

Boję się tego, co czeka ją w tym pokoju. Czy będzie tam coś, co ją przestraszy? Czy zacznie płakać? A jeśli się zamknie? Jeśli nie będzie chciała współpracować?

Na szczęście lekarka nie ma na sobie białego kitla – tego znenawidzonego symbolu, który działa na Josie jak płachta na byka.

Levi wstaje i wyciąga do niej rękę. Josie nawet się nie waha. Łapie go za dłoni, ufnie, pewnie, jakby to było coś zupełnie naturalnego. Stoi grzecznie, kręci głową tak, że jej kucyki podskakują wokół twarzy.

A ja wstrzymuję oddech, patrząc na nich.

Levi nachyla się do mnie i zanim zdążę coś powiedzieć, obejmuje mnie mocno, bezpiecznie, chcąc przekazać mi swoją siłę.

– Idź pierwsza – mówi cicho, a w jego głosie nie ma nawet cienia wahania. – Przekaż wszystkie informacje, a potem się zamienimy.

Nie mogę już dłużej odkładać tego momentu. To ten krok.

Gabinet nie różni się zbyt wiele od innych, które już widziałam. Owszem, meble niemal krzyczą: „Jesteśmy drogie!”, ale poza tym panuje tu znajomy porządek – biurko, komputer, szafki z dokumentami. Minimalizm, który ma sprawiać wrażenie profesjonalizmu.

Rozglądam się, szukając czegokolwiek, co mogłoby wyróżniać to miejsce. Mój wzrok zatrzymuje się na dużej szybie po prawej stronie. Podchodzę bliżej, próbuję przez nią zajrzeć.

I widok we mnie uderza.

Za szklą jest sala, do której wchodzi Josie i Levi. To nie jest zwykła, sterylna przestrzeń, jaką znam z publicznych placówek. Nie ma tam szarych ścian, zimnych podłóg, rzędu krzeseł pod ścianą.

Ta sala jest inna – ciepła, przyjazna, dostosowana do dzieci. Na miękkim dywanie leżą rozsypane klocki i pluszaki, w rogu stoi niski stolik z kredkami i kolorowankami, a na środku – niewielka zjeżdżalnia. Nawet światło jest inne, delikatniejsze, cieplejsze.

To miejsce jest stworzone dla dzieci.

Czuję nagły przypływ nadziei.

Może to naprawdę się uda? Może tutaj ktoś w końcu nas wysłucha?

– To lustro weneckie – odzywa się doktor Kloś, podchodząc bliżej. – Oni nas nie widzą. Dzieci rzadko otwierają się na współpracę podczas pierwszych spotkań, dlatego łatwiej przeprowadzać testy w takich warunkach. Jeden z rodziców wykonuje moje polecenia, a dziecko nie stresuje się moją obecnością.

Patrząc na nią z wdzięcznością. Nie wiedziałam, jak bardzo potrzebuję usłyszeć, że ktoś ma plan.

– Niech się pobawią, a Josie przyzwyczai się do pomieszczenia. My w tym czasie załatwimy formalności.

Wraca do biurka, włącza komputer i zaczyna zadawać pytania. O ciążę, poród, rozwój, moje obawy. O wszystko – dosłownie wszystko, co może mieć znaczenie. Tym razem, inaczej niż u poprzednich lekarzy, nie czuję się jak rozhisteryzowana matka, która szuka problemu tam, gdzie go nie ma.

Słucha uważnie. Robi notatki. Zadaje dodatkowe pytania. Naprawdę się interesuje.

Wyciągam z torby gruby segregator i przesuwam go w jej stronę.

– Tu mam wszystkie konsultacje z ostatnich trzech lat. Neurolog, laryngolog, audiolog, endokrynolog, psycholog, fizjoterapeuta, logopeda, diagenoza SI, każda opinia, każde badanie.

Nie przerywając pisania, sięga po segregator.

– Rozumiem, że według nich Josie jest zdrowa? – mruczy, wciąż notując. Czuję, jak coś ściska mnie w gardle.

– Do pewnego momentu... – Prostuję się, wciągając głęboko powietrze. – Teraz ci sami lekarze mówią, że to moja wina. Że zgłaszam się tak późno.

Podnosi na mnie wzrok. Nie ocenia. Analizuje. Przenika mnie na wskroś.

– To nie jest pani wina. Szukała pani pomocy od urodzenia córki. Słuchała pani swojego instynktu i przeczucia.

– I nic to nie daje. – Wzruszam ramionami, spuszczaając wzrok na swoje dłonie.

– To, czy nic to nie daje, powiem pani dopiero na koniec badań. – Otwiera segregator na pierwszej stronie i zaczyna go uważnie przeglądać.

Czasami na jej twarzy widzę niedowierzanie. Czasami zbulwersowanie. A kiedy indziej... rozbawienie?

– Mogę to skserować? – pyta nagle. – Chciałabym dołączyć wszystko do dokumentacji medycznej, żebyśmy mieli pełen obraz sytuacji.

– Oczywiście.

Sięga po telefon i prosi asystentkę o przyjęcie. Chwilę później młoda kobieta zabiera segregator, żeby przygotować kopie.

– Trochę to potrwa – wzdygam mimowolnie.

Doktor Kloze uśmiecha się lekko.

– Chciałabym, żeby wszyscy rodzice przychodzili do mnie tak przygotowani jak państwo. – Podaje mi arkusz. – Tu ma pani test ASRS⁴. Proszę go wypełnić, a ja poobserwuję Josie.

Wstaje i podchodzi do lustra weneckiego.

Otwieram arkusz. Kilkanaście pytań. Odpowiedzi w skali od zera do czterech.

Jak często w ciągu ostatnich czterech tygodni pani dziecko...

Uczestniczy we wspólnej zabawie?

Mówi w dziwaczny sposób?

Upiera się, by robić coś w taki sam sposób jak zawsze?

Reaguje zdenerwowaniem, jeżeli zaszły jakieś zmiany w rutynowych czynnościach?

⁴ Autism Spectrum Rating Scales – skala dla rodziców i nauczycieli, służąca do oceny zachowań ze spektrum autyzmu (ASD) u dzieci i młodzieży.

Czuję zimny pot na plecach z każdym pytaniem, które pasuje do mojej córki. Kiedy kończę, odkładam arkusz na biurko i stoję obok pani doktor. Josie ślizga się na zjeżdżalni, a Levi czuwa przy niej, gotowy złapać ją w każdej chwili.

– Córka nie ma problemu z kontaktem wzrokowym, prawda?

– Nie. Zawsze patrzy w oczy, kiedy do niej mówimy albo się z nią bawimy.

Psychiatra notuje wszystko – to, co mówię, i to, co sama obserwuje. W pewnym momencie przez interkom zaczyna wydawać Leviemu instrukcje. Prosi, żeby zachęcił Josie do konkretnych czynności. A ona... współpracuje. Bez zawahania. Bez protestu.

Z każdą kolejną prośbą w mojej piersi rośnie ciepłe uczucie – duma. Jest niesamowita.

A Levi? On również.

Gdyby to był obcy lekarz, Josie nigdy nie zrobiłaby nawet jednej setnej z tych rzeczy. Ale z nim? Czuje się bezpieczna.